Poległym chwała, wolność żywym,

Niech płynie w niebo dumny śpiew,

Wierzymy, że nam Sprawiedliwy,

Odpłaci za przelaną krew.

Starannie zaplatała warkocze, chciała, by wyglądały dziś idealnie. Zanim ubrała się, dumała bardzo długo nad tym, jaką spódnicę włożyć. Zdecydowała się na długą, ciemną, którą miała na pierwszym spotkaniu z Tadeuszem. Spojrzała na zegarek – za niedługo musiała wyjść, by na czas dotrzeć w ustalone miejsce.

Co czuła? Ciężko to określić słowami. Na pewno wielką, przeogromną ekscytację, po tylu latach udręki, wiecznego strachu, cowieczornej modlitwy przed snem – Boże, daj nam przeżyć jeszcze jeden dzień. W końcu nadeszła ta chwila, kiedy wszyscy razem, niczym jedność, stawią czoła wrogowi. I pokonają go – tak wszyscy sądzili.

Bardzo w to wierzyła. O to także modliła się każdego dnia. Tadeusz jeszcze wczoraj mówił jej, że za kilka dni wróci do domu i rozpocznie się nowy, lepszy świat. A wtedy pobiorą się, zamieszkają w domu jego rodziców i doczekają się trójki ślicznych dzieci. Tak sobie wymarzyli, już nawet wymyślili im imiona, tak bardzo pragnęli, by spokojne, błogie czasy w końcu nadeszły.

Oprócz ekscytacji, gdzieś wewnątrz jej serca krył się także strach. Co, jeśli coś – a może nawet wszystko – pójdzie nie tak? Co jeśli dosięgnie ją kula, albo, co gorsza – jego? Starała się spychać te ponure myśli w głąb podświadomości, ale wiedziała, że tam są, przypominały o sobie, wpychając się nieproszone do jej umysłu.

Dlaczego bała się tego teraz, skoro od dobrych kilku lat, codziennie mogła zginąć od niemieckiej kuli? A jednak nadal tu była, stała przy oknie i przykładała dłoń do serca – tak strasznie mocno biło, już od rana, odkąd tylko się obudziła i zdała sobie sprawę, że to dziś jest ten dzień.

Słyszała jak matka rozmawia z jej młodszym bratem w kuchni. Musiała się z nimi pożegnać. Na kilka dni - powtarzała to sobie jak mantrę – tylko na kilka dni.

- Mamo… - popatrzyła w jej wielkie, zatroskane oczy pełne łez – Mamo, muszę iść…

Wtuliła się w nią, zupełnie tak jak wtedy, gdy była małą dziewczynką. I dokładnie tak, jak wtedy, jej zapach przepełniał ją poczuciem bezpieczeństwa. Potrzebowała tego bardziej niż czegokolwiek innego.

Miała wrażenie, że czas się zatrzymał, kiedy tak przytulały się do siebie, chcąc złapać, zatrzymać tą chwilę, przeciągnąć ją na wieczność. Matka głaskała ją po plecach i włosach, jakby chciała ją uspokoić.

- Też chcę iść – usłyszała rozżalony głos swojego czternastoletniego brata – Zosia, ja chcę z tobą!

- Nigdzie nie pójdziesz – powiedziała gniewnie, po czym przytuliła go i spojrzała błagalnie – Proszę, obiecaj mi, że nie pójdziesz. Chcę, żebyś był bezpieczny.

Widziała, że jest niezadowolony, marszczy brwi i ucieka wzrokiem. Był dla niej małym, bezbronnym braciszkiem, którym musiała się opiekować – chociaż, gdy patrzyła tak na niego, zdała sobie sprawę, że zmienia się już powoli w młodego mężczyznę.

Ściskała ich tak na zmianę, nie mogła skierować się w stronę drzwi, chciała zapamiętać każdy dotyk matki i brata, zapisać w pamięci, aby dodawał jej sił, gdy będzie jej ich brakowało.

Ktoś zapukał do drzwi. Nie przestraszyła się, tak charakterystycznie robiła to tylko jedna osoba. Uśmiechnęła się.

Tadeusz trzymał w dłoni pojedynczy smutny, praktycznie zwiędły kwiatek. Ucałowała ukochanego, śmiejąc się i czule pieszcząc w dłoniach podarunek.

Po raz ostatni pocałowała mamę i brata.

- Niedługo wrócę – obiecała, przełykając łzy.

- Idźcie z Bogiem, dzieci – wyszeptała tylko matka, robiąc nad nimi znak krzyża.

Wiedziała, że rodzicielka nie chce, aby szła. Ale wiedziała także, że musi to zrobić. Inaczej nie mogłaby żyć w zgodzie ze sobą.

Zeszli po schodach kamienicy w dobrych nastrojach, pełni radosnej ekscytacji. Idąc ulicami, dało się czuć w powietrzu ogromne napięcie. Miasto czekało, niecierpliwiło się, odliczało minuty. Tadeusz, jeszcze przed chwilą rozgadany, nagle zamilkł. Przemierzali miasto w ciszy, miała wrażenie, że nie słyszy odgłosów życia miasta a jedynie hałaśliwe, ogłuszające, nieregularne bicie swojego serca, każdy swój płytki, szybki oddech. Trzymała mocno Tadeusza za rękę, wbijała mu paznokcie w dłoń.

Gdzieś w oddali padły strzały. Wybiła godzina „W". Popatrzyli sobie w oczy, pełni przerażenia przeplatywanego ekscytacją, ciekawością.

Chcieli walczyć. Chcieli zrobić wszystko, by wyzwolić ojczyznę z krępujących ją łańcuchów. Chcieli w końcu być wolni. Musieli to zrobić, dla siebie i dla przyszłych pokoleń.

Pocałował ją, jeszcze nie wiedziała, że po raz ostatni. Jeszcze nie wiedziała, że gdy ujrzy go następnym razem, jego spojrzenie będzie puste i nieobecne, skóra nienaturalne blada i zimna, a jego czaszka naznaczona kulą.

Zaczęła się długa i powolna śmierć Warszawy.

73 lata później.

Dwóch młodych mężczyzn siedziało na ławce gdzieś niedaleko ruchliwych ulic Warszawy. Zaciętą rozmowę przerwało im przeciągłe, głośne wycie syren.

Spojrzeli na zegarki. Siedemnasta. Patrzyli, jak wszystko wokół zamiera na jedną, krótką chwilę.

Auta zatrzymały się, wszystkie, co do jednego, tak bardzo zgodnie, chociaż na co dzień wyprzedzały się, trąbiły, a ich kierowcy pokazywali sobie niekulturalne gesty. Pasażerowie wysiedli, stanęli z lekko pochylonymi głowami. Ludzie idący chodnikiem zatrzymali się w miejscu, jakby ktoś rzucił na nich jakiś czar. Chociaż dotąd nieznajomi, teraz wszyscy razem, wspólnie, tak nagle bardzo sobie bliscy, oddawali hołd powstańcom.

Mężczyźni nie wstali z ławki. Spokojnie obserwowali, jak syreny przestają wyć, a życie wraca do normy. Na ich twarzach malowała się pogarda.

- Powstańcy byli głupi, tak samo jak ten ich zryw, od początku skazany na porażkę – powiedział jeden z nich.

Jego towarzysz kiwnął głową i zapalił papierosa.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

kg, dodano 01.08.2017 22:03

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.